

## Zdarzenia nad stawem

Otoczenie szkoły było piękne. Budynek stał za wsią na niewielkim wzgórzu, a prowadziła do niego droga wśród wielkich drzew kasztanowych. Szkołę otaczały bzy i jaśminy. Teren szkoły wraz placem zabaw i gier był ogrodzony drewnianym parkanem. W pobliżu (między wsią a szkołą) był staw, a przy nim kilka pięknych płaczących wierzb. U brzegu wód stawu gęsto rósł tatarak i oczeret, a goszczące czasami przy brzegu stawu płochliwe czaple świadczyły, że były tam ryby. Znajdowało się tam też obfite siedlisko żab, które w upalne dni tajemniczo i uroczym kumkały i rechotały, wypełniając wiosenną ciszę wieczorów i nocy wspaniałym koncertem. Od rana wokół stawu chodziły bociany, uważnie szukający tam odpowiedniego dla nich żeru. Wiosną pływały kaczki ze swoim żółtawym potomstwem, wybierające miejsca pokryte seledynową rzęsą. Staw miał swoje źródło. Świadczył o nim wypływający strumyk wody, który wpływał do Słuczy.

Poranne mgły i parująca w upalne dni woda stawu napełniały powietrze łagodną wilgocią, korzystną dla zdrowia dzieci i dorosłych. Gdy było gorąco, dzieci i starsi chłodzili sobie w przybrzeżnej wodzie stawu nogi, a w czasie zimy było tu lodowisko. Właśnie w związku z tym lodowiskiem nie sposób pominąć dwóch groźnych wydarzeń, jakie tam miały miejsce.

A oto pierwsze z nich. Pewien gospodarz w Brzezinach miał parę roboczych koni i jednego ogiera. Była zimowa niedziela. Gospodarz postanowił wyprowadzić konie w celu ich rekreacyjnego przewietrzenia, czyli ruchu na świeżym, mroźnym powietrzu. Wyprowadził je na pokrytą cienką warstwą śniegu zmarzniętą łąkę graniczącą ze stawem. Większość koni we wsi nie była wyposażona w podkowsy, bo nie było dróg bitych (brukowanych). Wprawdzie w czasie zimowej ślizgawicy podkowsy były wskazane, ale chłopci zimą trzymali konie w stajniach. Tak więc konie tego gospodarza też były „bose”. Para koni roboczych zachowywała się spokojnie. Najpierw się wytarzały, a później podeszły do stawu i wąchały suchy tatarak i oczeret. Natomiast ogierek, pełen energii i wigoru, biegał po łączce z podniesionym ogonem. W pewnym momencie, nie widząc stawu pokrytego warstwą śniegu, rozpedzony wbiegł na lód i po kilku metrach ślizgu upadł na bok, po czym siłą bezwładu swego cielska prześliznął na środek stawu. Tu usiłował poderwać się na nogi, ale na skutek tych prób lód pod nim załamał się i ogierek wpadł do wody sięgającej mu po szyję. Przerażony, rżał rozpaczliwie, stawał na tylne

łapy i przednimi usiłował się wydostać na powierzchnię lodu, ale nogi oślizgiwały się i pogrążały w wodzie.

Obecny przy koniach gospodarz pobiegł mu na pomoc. Widząc, jaka jest sytuacja, podniósł krzyk, by przywołać sąsiadów. Wołał: „Ludzie dawajcie długie drabiny i liny!”. Wkrótce przyniesiono drabiny i mocne konopne liny. Zbiegło się też dużo ludzi. Drabiny położono z obu stron *opołonki* (tak nazywano przeręblę lub duży otwór w lodzie), stojący na tych drabinach mężczyźni opasali liną korpus konia, a dwa jej końce rzucili na brzeg stawu. Następnie jedną drabinę wsunęto do wody aż do dna i kilkunastu mężczyzn ciągnęło za liny, przyciągając konia do stojącej w wodzie drabiny, a następnie razem z drabiną wyciągnięto ogiera na brzeg stawu. I tak szczęśliwie skończyła się ta przygoda. Zdarzyła się jeszcze druga, znacznie groźniejsza. Otóż był marzec, lód na stawie utrzymywał się. Dzieci po lekcjach szły ze szkoły do domu. Gdy przechodziły koło stawu, niektóre z nich weszły na lód, by się poślizgać. Ania i Marusia też tego zapragnęły. Trzymając się za ręce, weszły na lód stawu i kilka metrów od brzegu próbowały ślizgać się. Wtem Marusia upadła, a Ania usiłowała ją podnieść i w tym momencie załamał się pod nimi kruchy już wiosenny lód. Dziewczynki pogrążyły się w lodowatej wodzie, sięgającej im do piersi. Mimo przerażenia i szoku, stały jeszcze na nogach i rozpaczliwie wołały o ratunek. Także wszystkie obecne tam dzieci podniosły krzyk, ale żadne z nich nie podjęło akcji ratunkowej, bo to była pierwsza klasa. Na szczęście, słysząc ten krzyk, nadbiegł uczeń czwartej klasy, Witold (wołano go Wituś). Chłopak, ujrawszy co się stało, niezwłocznie ruszył dziewczynkom na ratunek. Podbiegł do nich, chwycił je za ręce i usiłował pomóc im wyjść na powierzchnię lodu, ale w tym momencie lód załamał się pod nim i znalazł się w wodzie wraz z nimi. Dzielny chłopak nie stracił głowy. Stojąc w wodzie, kolejno unosił dziewczynki i gdy były na powierzchni lodu popychał każdą do brzegu, a tam inne dzieci podawały im ręce, chwyciły za odzież i wyciągały na brzeg. Jednak Wituś sam miał trudności, aby wyjść z wody. Gdy odbił się nogami od dna stawu i usiłował rękami i kolanem sięgnąć krawędzi lodu, kolano się ześliznęło i znów stał w wodzie. Na szczęście ze szkoły nadbiegł pan Robert, który usłyszał krzyk dzieci i wbiegł na lód, by ratować chłopca. Pod nim też załamał się lód, ale zdołał on chwycić Witusia za ręce i wyjść z nim na brzeg stawu. Pan Robert kazał Witusiowi biec do szkoły, sam zaś porwał w ramiona Anię i Marusię i ile mu sił starczyło, biegł z nimi do szkoły. Tam zdjął mokrą odzież z dziewczynek i owinął je własnym płaszczem, po czym zajął się chłopcem. W tym czasie pod szkołę zbiegło się dużo ludzi. Przybiegli też rodzice Ani i Marusi. Kazimierz pobiegł do domu po pierzynę, którą Martynka owinęła Anię i ponieśli ją do domu. Dzięki różnym kuracjom:

nacieraniu, oklepywaniu i okładom dziecko nie rozchorowało się i ustąpił wstrząs psychiczny. Marusię też wykurowano.

W szkole i w całej wsi Wituś stał się bohaterem. Za sprawą pani Matyldy władze oświatowe uhonorowały go Dyplomem Bohaterskiego Ratownika. W celu publicznego wręczenia mu dyplomu w świetlicy szkolnej zebrali się wszyscy uczniowie i ich rodzice. Pani Matylda wygłaszała właśnie laudację związaną z dyplomem. Wituś, słysząc, że to wszystko jest o nim i dla niego, był bardzo skrępowany i w kulminacyjnym momencie, kiedy miał być poproszony na scenę w celu wręczenia mu dyplomu, uciekł i ukrył się w oborze wśród krów, które pasał, za co później oberwał od swego opiekuna. Chłopak ten był sierotą, ofiarą wojny. Jego ojciec, Jan Grabowski, zginął w czasie próby ucieczki od bolszewików, matka umarła na czarną ospę. Dziecko zostało przygarnięte przez mieszaną rodzinę: ojciec Polak, matka Ukrainka, która przeszła na katolicyzm. Małżeństwo to miało dwoje dzieci młodszych od Witusia, którymi on się opiekował, gdy rodzice wychodzili z domu do pracy w polu. Matka traktowała Witusia tak samo jak swoje rodzone dzieci. Chroniła go przed surowością swojego męża, który odnosił się do chłopca gorzej niż do własnych dzieci. Chłopak to czuł i wiedział, gdzie jest jego miejsce w tym domu. Jedynie dzięki temu, że żona gospodarza lubiła go i zastępowała mu matkę, dziecko dobrze znosiło warunki życia przy tej rodzinie. Gdy Wituś podrósł, gospodarz zatrudniał go do pilnowania bydła na pastwisku. W roku szkolnym zobowiązany był posyłać chłopaka do szkoły, bo takie było polskie prawo, ale po lekcjach musiał Wituś pilnować krów na pastwisku i w takich polowych warunkach odrabiał też zadane lekcje. Mimo to był dobrym uczniem, a pani Matylda oceniała go jako dziecko bardzo zdolne. Szczególnie wyróżniał się Wituś w pracach ręcznych i w sprawności fizycznej podczas zajęć gimnastycznych i w trakcie gier sportowych. Kazimierzowie wdzięczni za uratowanie Ani, zastanawiali się, czy nie porozumieć się z opiekunami Witusia w sprawie adoptowania go jako ich syna, mieli bowiem tylko jedno dziecko – Anię. Sprawa ta wymagała też zgody samego Witusia. Na razie wstrzymywali się z tym pomysłem, obdarowując chłopca prezentami, takimi jak buciki i ubranka.